



Temat miesiąca:

ZŁOTO I DIAMENTOWO



Małżeństwo, to diament szlifowany przez całe życie

– tak nazwał to duchowny,
aforysta Antoni Regulski.
To związek kobiety i mężczyzny,
o którym Lew Tolstoj powiedział,
że zawierany jest w... niebie.

W atmosferze piątkowego popołudnia, w Gminnym Ośrodku Kultury w Wiśniowej Górze czuć było wyraźnie, że zarówno wybitny Polak, jak i wielki Rosjanin mieli rację. Dziewiątego października w GOK odbyła się niecodzienna uroczystość. Trzydzieści pięć par małżeńskich z naszej gminy obchodziło jubileusz pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolecia związku. W imieniu Rzeczypospolitej i Jej Prezydenta Wójt Gminy Andrespol Dariusz Kubus wręczył Jubilatom Medale za Długoletnie Pożycie Małżeńskie.

Atmosfera od początku była niezwykła. Z ogromnym przejęciem, drżącym nieco głosem, gości witała – także mężatka od kilku zaledwie tygodni – kierownik andrespolskiego USC Ewelina Rostkowska. Pierwszy do mikrofonu podszedł proboszcz z Bedonia, ksiądz Włodzimierz Kujawin. Mówił o swej radości – o satysfakcji duchownego, któremu dane jest żyć w społeczności, gdzie tak wiele par obchodzi takie jubileusze. Dając w ten sposób młodym pokoleniom świadectwo potęgi miłości i rodziny. Gratulując Dostojnym Parom, ksiądz Kujawin przywołał słowa świętego Jana Pawła II: „Miłość bez rodziny byłaby bezdomna”.

Następnie do zebranych zwrócił się wójt. Powiedział, że mogą być dumni, ponieważ wiele z ich życiowych dokonań służyć będzie następnym pokoleniom. Mówił, że cieszy się radością zebranych na sali par. Małżonków ze złotym i diamentowym stażem, mieszkańców gminy. Życzył Jubilatom dobrego zdrowia i radości. Kolejnych udanych jubileuszy. Pogratił, że przez tak wiele lat chcieli i potrafili dotrzymać danego sobie kiedyś słowa.

Do tych słów właśnie nawiązał w swym wystąpieniu przewodniczący Rady Gminy Jan Woźniak: „Nie wystarczy – mówił, przywołując myśl Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – pokochać, trzeba jeszcze umieć wziąć tę miłość w ręce i przenieść ją przez całe życie.”

W ten piątek w ośrodku kultury było wzniosłe, ale nie patetyczne. Był kieliszek szampana i głośnie, wspólne „Sto lat”. Naturalnego ciepła dodały spotkaniu występy gminnych artystów. Było popowo – a nawet momentami „bigbitowo” – ale i na ludowo. Śpiewały między innymi dziewczęta z zespołu D.N.A., wystąpił Big Band „Wiśniowa Góra” oraz Zespół Pieśni i Tańca „Wiśniowa Góra”. Na scenie i poza nią pojawili się goście z Łodzi. Duet taneczny Izabela i Kamil autentycznie przykuł uwagę zebranych – profesjonalizmem, gracją, ale i pięknymi strojami. No i... „szejkiem” – figurą taneczną, która budząc wyobraźnię – zwłaszcza męskiej części widowni – prowokował dłonie do spontanicznych oklasków.

To popołudnie i wieczór w Wiśniowej Górze dały nam wszystkim nie tylko wiele radości. Stały się także źródłem trwałej refleksji. Zadumy nad potęgą tego, co trwałe w relatywizującym się świecie pędzących przemian...

Amerykański pisarz H. Jackson Brown, który miał okazję przez wiele lat przypatrywać się szczęściu swych rodziców, powiedział: Udałe małżeństwo zależy od dwóch rzeczy: od znalezienia właściwej osoby i od bycia właściwą osobą.

K.S.

Więcej na str. 4-5

W numerze:

Planowo i sukcesywnie



Sołtys Turzyński musi wyciszyć w sobie marzenie o parku na Barachówce. W przyszłym roku szkoła w Wiśniowej ważniejsza. O niedokończonej gminnej kanalizacji nie wspominając...

Czytaj str. 3

W Andrespolu już są



Paczka łączy potrzebujących z tymi, którzy chcą im pomagać. Biednych i bogatych, budując społeczeństwo, w którym można liczyć na pomoc innych.

Czytaj str. 6

La Paloma w strażackim hełmie



Zagrali tylko cztery utwory, ale trudno teraz powiedzieć, kto miał wtedy większą tremę. Muzycy amatorzy, czy przyszli patroni z gminy.

Czytaj str. 7



Studnia jak nowa

Żywotność każdej studni przewidziana jest na około pięćdziesiąt lat. Według fachowców, każda z nich co dziesięć lat poddana powinna być przeglądowi technicznemu. Czasem – niespodziewanie – taki „przeгляд techniczny” głębinowej studni wymusza życie. Ścisłej, awaria systemu. Tak właśnie latem tego roku stało się w Janówce. I prawie w tym samym czasie – w Kraszewie.

W Janówce awaria była poważna. Pierwsze symptomy, znaczny spadek ciśnienia wody w tamtejszych kranach pojawiły się w lipcu. Uszkodzeniu uległa studnia numer dwa. Okazało się, że problem miał potrójnie złożone przyczyny. Po pierwsze: nastąpiła awaria elektronicznego systemu sterowania; po drugie: popsuta się jedna z pomp; po trzecie: na skutek długoletniej eksploatacji wydajność części studziennego systemu rur – a więc i samego otworu studziennego – spadła aż o ...osiemdziesiąt procent. Zdaniem dyrektora gminnego Zakładu Gospodarki Komunalnej Piotra Wilka, przyczyny zaistniałej sytuacji, to: występujące minione lata nagle przerwy w dostawie prądu, zwiększony pobór wody przez mieszkańców podczas upałów oraz naturalny proces gromadzenia się osadów w rurach.

Ekipa ZGK zareagowała najszybciej jak to było możliwe. Przy współudziale wyspecjalizowanej firmy zewnętrznej, w drugiej połowie września awarię studni usunięto. Naprawiono system sterowania, zregenerowane zostały elementy pompy, udrożnione rury.

Przy okazji remontu studni numer dwa, dokonano przeglądu stanu technicznego studni numer jeden. Warto przy tym zwrócić uwagę na istotny fakt – chcąc maksymalnie ograniczyć dyskomfort mieszkańców, pompy w trakcie remontu wyłączano naprzemiennie; by choć w ograniczonej ilości, ale jednak woda w kranach w Janówce była.

Według Piotra Wilka, w Janówce kłopotów z wodą nie należy się już obawiać. Mieszkańcy mogą czuć się bezpiecznie. Podobnie w Kraszewie, gdzie latem także ze studnią był problem – popsuta się pompa, ale w gminnym ZGK była zapasowa i kłopot okazał się w sumie niewielki. Władze gminy natomiast podjęły decyzję mającą uchronić przed przykrymi skutkami ewentualnej



Awaria była poważna. Pierwsze symptomy – znaczny spadek ciśnienia wody w kranach – pojawiły się w lipcu. Uszkodzeniu uległa studnia numer dwa.

awarii mieszkańców Justynowa. Na zlecenie Urzędu Gminy podjęto właśnie prace nad dokumentacją rozbudowy tamtejszego ujęcia wody wraz z budową stacji uzdatniania. Choć system poboru wody pitnej w tym sołectwie wspomagany być może przez łódzką

magistralę wodociągową – z czego nie da się korzystać w Janówce – to rozważana jest możliwość budowy w Justynowie zbiornika retencyjnego, co dodatkowo zabezpieczyłoby odbiorców wody przed niemiłą niespodzianką.

Mimo, że prace tego typu nie są tanie – koszt naprawy studni w Janówce wyniósł ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych – to nie warto i nie da się po prostu w gminie na tym oszczędzać. Za wyjątkiem najmłodszego technologicznie systemu poboru wody ze studni głębinowej w Wiśniowej Górze, pozostałe nasze studnie powstały w latach

osiemdziesiątych. Muszą więc podlegać systematycznym przeglądom i renowacji. W przeciwnym wypadku, będą się psuły. A remont także kosztuje – pieniądze i nerwy.

k.s.

Działki na sprzedaż

Władze gminy zapraszają do kolejnego przetargu, w którym na sprzedaż wystawione zostaną działki zabudowane oraz niezabudowane w Wiśniowej Górze i jedna w Justynowie. Z ewentualną decyzją o próbie zakupu nie warto zwlekać, bo przetarg odbędzie się już za kilka dni – szóstego listopada o godzinie dwunastej, w sali posiedzeń Urzędu Gminy.

Szczegółów można się dowiedzieć w Urzędzie Gminy lub – jak zawsze przy okazji tego typu oferty sprzedaży – z Biuletynu Informacji Publicznej, na stronie internetowej: www.bip.andrespol.pl

W lewej części strony znajduje się Menu Przedmiotowe, a w nim zakładka: Sprzedaż działek. Tam – ilekroć Państwo wejście – znajdziecie nie tylko najświeższe informacje o organizowanych przetargach sprzedażowych, ale też tzw. Wykaz nieruchomości gruntowych przewidzianych do sprzedaży lub dzierżawy.

Na stronie tej – w zakładce: Zamówienia publiczne – znajdują się również aktualne informacje o ogłaszanych przez Urząd Gminy lub podległe mu instytucje przetargach na usługi oraz produkty niezbędne do prawidłowego funkcjonowania gminnej społeczności.

Zapraszamy na stronę:

www.bip.andrespol.pl

Z prac samorządu

Październikowa sesja Rady Gminy w głównej mierze dotyczyła finansów. Wśród najistotniejszych decyzji radnych, za najważniejsze uznać należy postanowienie o pozostawieniu w przyszłym roku bez zmian stawek podatkowych od nieruchomości i środków transportu. Zerowa inflacja umożliwiła pozostawienie na dotychczasowym poziomie obciążeń podatkowych, na które gminna władza samorządowa ma decydujący wpływ.

Równie pomyślne okazały się dwie inne podjęte dwunastego października uchwały – o zmianach w budżecie gminy na kończący się rok oraz o korekcie w Wieloletniej Prognozie Finansowej Gminy Andrespol na lata 2015-2020. Zmiana w budżecie jest skutkiem podliczenia tegorocznych kosztów usuwania z naszych budynków azbestowych pokryć dachowych. Po podsumowaniu poniesionych nakładów i dotacji na ten cel z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska, okazało się, że udział gminnych środków budżetowych w nakładach finansowych na ten cel wyniósł... jeden procent. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ciężar ekonomiczny pozbycia się w gminie azbestu przejął na siebie fundusz wojewódzki.

Zmiana w finansowej prognozie wieloletniej wiąże się natomiast z wystąpieniem Urzędu Gminy do Urzędu Marszałkowskiego z wnioskiem o współfinansowanie zakupu samochodu dla OSP w Justynowie. Istnieje realna szansa, że za nowy wóz strażacki zapłacimy jedynie szesnaście – może niewiele wie-

cej – procent jego ceny. Reszta pochodzić będzie z Urzędu Marszałkowskiego, pod warunkiem, że w przyszłorocznym gminnym budżecie zarezerwujemy pieniądze na tzw. udział własny. Stąd konieczna zmiana w prognozie wieloletniej.

I jeszcze uzupełnienie. W trzecim numerze naszego miesięcznika – ze względu na harmonogram druku gazety – nie poinformowaliśmy Państwa o wcześniejszym posiedzeniu rady. O efektach obrad z osiemnastego września. Dziś zaległość odrabiamy.

Wśród podjętych wówczas decyzji, najważniejsze – naszym zdaniem – to uchwały w sprawie: zmian w budżecie gminy na rok 2015; przejęcia przez gminę w użyczenie od skarbu państwa nieruchomości gruntowej – niezabudowanych działek położonych wzdłuż wodociągu Łódź-Pilica – w Bedoniu Przykościelnym nieopodal ulicy Głównej; sprzedaży w przetargu zabudowanej działki w Wiśniowej Górze przy ulicy Oficerskiej 4 oraz sprzedaży dotychczasowym najemcom mieszkań – wraz z przynależną im działką – w budynku znajdującym się w Andrespolu przy ulicy Fabrycznej 8.

Istotnym powodem wrześniowych zmian w budżecie stała się potrzeba zabezpieczenia środków finansowych, koniecznych do zawarcia z Powiatowym Urzędem Pracy w Łodzi umowy, na podstawie której w gminnych instytucjach zatrudniane są osoby według formuły tzw. robót publicznych. Z finansowego punktu widzenia, istotą tej umowy jest

to, że znaczna część – ostatnio nawet do sześćdziesięciu procent – ponoszonych przez nas kosztów zatrudniania pracowników kierowanych z urzędu pracy współfinansowana jest przez ten urząd.

Przejęcie przez gminę działek w Bedoniu Przykościelnym w pierwszej kolejności zainteresuje z pewnością właścicieli nieruchomości usytuowanych w rejonie ulicy Głównej i równoległe biegnącego do niej wodociągu. Planuje się, że przez działki te przebiegać będzie droga, która z jednej strony ułatwi dotychczasowym mieszkańcom poruszanie się po okolicy; z drugiej, postawi w tym rejonie sołectwa do dyspozycji chętnych nowe tereny pod zabudowę. O przejęciu przez gminę na tych samych zasadach kolejnych działek w tej okolicy radni zdecydowali także w trakcie ostatniej, październikowej sesji.

Licząca blisko sześć tysięcy metrów kwadratowych działka w Wiśniowej Górze, którą radni – w drodze przetargu – zdecydowali się sprzedać, to teren po dawnej jednostce wojskowej. Znajdują się na nim pozostawione przez wojsko garaże, które także będą wystawione na sprzedaż.

Sprzedanych obecnym najemcom będzie także sześć mieszkań – wraz z gruntem – w Andrespolu przy ulicy Fabrycznej. Koniecznej do sfinalizowania transakcji wyceny spodziewać się można na przełomie kończącego się i nowego roku. Najpóźniej – na jego początku. Najpierw konieczna była decyzja rady, która zresztą prowadzi w tej dziedzinie bardzo konsekwentne działania. Mieszkania przy Fabrycznej, to kolejne gminne lokale, o których radni zdecydowali, że będą sprzedane.

k.s.

Ważne telefony

URZĄD GMINY ANDRESPOL

95 - 020 Andrespol ul. Rokicińska 126
tel/fax: 42 213 24 40

POLICJA - POSTERUNEK ANDRESPOL

tel. 42 213 20 07

ZAKŁAD GOSPODARKI KOMUNALNEJ

tel. 42 213 24 57; 535 526 367

GMINNA PRZYCHODNIA ZDROWIA

tel. 42 213 23 62

APTEKI:

- Na Skrzyżowaniu - Andrespol, Rokicińska 124, tel. 42 649 13 73
- Farmacja 24 - Andrespol, Rokicińska 125, tel. 42 213 20 25
- Apteka Sieciowa - Andrespol, Rokicińska 146, 42 307 02 50
- Dbam o Zdrowie - Andrespol, Projektowana 16, tel.: 42 213 22 33
- Farm-Med - Justynów, Łódzka 37, tel.: 42 236 23 31

Nocne, niedzielne i świąteczne dyżury aptek 23 października - 27 listopada br.

23.10 - „Dbam o Zdrowie”	10.11 - „Apteka Sieciowa”
24.10 - „Na Skrzyżowaniu”	11.11 - „Farm-Med”
25.10 - „Farmacja 24”	12.11 - „Dbam o Zdrowie”
26.10 - „Apteka Sieciowa”	13.11 - „Na Skrzyżowaniu”
27.10 - „Farm-Med”	14.11 - „Farmacja 24”
28.10 - „Dbam o Zdrowie”	15.11 - „Apteka Sieciowa”
29.10 - „Na Skrzyżowaniu”	16.11 - „Farm-Med”
30.10 - „Farmacja 24”	17.11 - „Dbam o Zdrowie”
31.10 - „Apteka Sieciowa”	18.11 - „Na Skrzyżowaniu”
1.11 - „Farm-Med”	19.11 - „Farmacja 24”
2.11 - „Dbam o Zdrowie”	20.11 - „Apteka Sieciowa”
3.11 - „Na Skrzyżowaniu”	21.11 - „Farm-Med”
4.11 - „Farmacja 24”	22.11 - „Dbam o Zdrowie”
5.11 - „Apteka Sieciowa”	23.11 - „Na Skrzyżowaniu”
6.11 - „Farm-Med”	24.11 - „Farmacja 24”
7.11 - „Dbam o Zdrowie”	25.11 - „Apteka Sieciowa”
8.11 - „Na Skrzyżowaniu”	26.11 - „Farm-Med”
9.11 - „Farmacja 24”	27.11 - „Dbam o Zdrowie”



„W Centrum Polski”, miesięcznik Gminy Andrespol. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Wiśniowej Górze. 95-020 Wiśniowa Góra ul. Tuszyńska 64, tel.: 42 213 22 96, e-mail: krzysztof.spychalski@andrespol.pl. Dyrektor: Małgorzata Kopczyńska-Zeno. Redaktor naczelny: Krzysztof Spychalski. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótu materiałów nadesłanych i nie odpowiada za treść ogłoszeń płatnych. Skład, łamanie: Agencja Wydawnicza PAJ-Press. Druk MOMAG SA

Sto lat i dużo więcej..!

Impreza była niecodzienna. Świetnie zorganizowana, atmosfera spotkania ciepła. Okazja – godna. W pierwszą sobotę października w Andrespolu odbyła się uroczystość z okazji pięćdziesięciolecia miejscowego Koła Emerytów, Rencistów i Inwalidów, a także w związku z obchodzonym właśnie Miesiącem Seniora.

Przewodniczący Koła Marian Turzyński czuwał nad wszystkim – witał, dziękował, przemawiał. Dbał, by licznie zgromadzeni na sali reprezentanci andrespolskiej, blisko dwustu trzydziestoosobowej organizacji seniorów dobrze na imprezie się czuli. I tak było. Były gratulacje, życzenia, kwiaty i... słodczyce od przedstawicieli gminnego samorządu. Była muzyka „na żywo”, tańce, pyszne – przygotowane przez Panie z zarządu koła – jedzenie, uśmiechy i żarty.

Niezwykłe sympatycznie było poczuć atmosferę tętniącej życiem organizacji powstałej pięćdziesiąt lat temu z inicjatywy emeryta z Łódzkich Zakładów Ceramiki Budowlanej Pana Witolda Pawłowskiego. Miło było usłyszeć z ust przewodniczącego Turzyńskiego, że najstarsi członkowie organizacji – osiemdziesięcioletni i ponad – jeszcze w tym roku w Urzędzie Miasta Łodzi otrzymają, przyznawane przez Zarząd Główny Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów, Złote Odznaki. Honor taki przypadnie w udziale: Genowefie Lasocie, Annie Hyży, Teresie Jasińskiej – wszystkie Panie z Andrespola – oraz Władysławie Woźniak z Nowego Bedonia i Eugeniuszowi Ruda z Bedonia Przykościelnego.

Gratulujemy ! A wszystkim naszym Seniorom gromko życzymy stu i dużo, dużo więcej lat.



K.S.



Przewodniczący koła Marian Turzyński czuwał nad wszystkim – witał, dziękował, przemawiał. Dbał, by licznie zgromadzeni seniorzy dobrze na imprezie się czuli.



W powiecie i u sąsiadów

Choć chcieli więcej, mieszkańcy Wiśniowej Góry odnieśli jednak sukces i można chyba powiedzieć, że władze powiatu łódzkiego wschodniego dotrzywały słowa. Nowe przejście dla pieszych będzie wprowadzić na razie tylko jedno, ale inaczej – z powodu organizacji planowanych prac modernizacyjnych w Wiśniowej Górze – być nie może.

W sierpniowym wydaniu naszego miesięcznika pisaliśmy w tej rubryce o deklaracji starostwa powiatowego w sprawie budowy dodatkowych przejść dla pieszych w Wiśniowej Górze na ulicy Tuszyńskiej. Sprawę wywołało pismem żądanie skierowane latem do powiatu przez mieszkańców sołectwa. Niedawno ze starostwa powiatowego otrzymaliśmy oficjalną informację, że jeszcze do końca roku na Tuszyńskiej w Wiśniowej Górze - na drodze powiatowej nr 2912E - niedaleko ul. Oficerskiej wyznaczone zostanie nowe przejście dla pieszych. To ważne, bo w tym rejonie jest przecież odwiedzany przez dzieci plac zabaw oraz przedszkole. Jak poinformowała nas - osobiście zaangażowana w spełnienie żądań mieszkańców Wiśniowej Góry - członek zarządu powiatu i sekretarz gminy Andrespól zarazem Elżbieta Ciesielska, budowa przejścia kosztować będzie powiat piętnaście tysięcy złotych. Do czasu rozbudowy kanalizacji w Wiśniowej Górze – co przewidywane jest na lata: 2016-2017 – budowa kolejnych przejść na Tuszyńskiej byłaby bezzasadna.

Drugą tegoroczną jeszcze, drogą inwestycją powiatową w gminie – tym razem z naszym finansowym udziałem – będzie przebudowa ulicy H. Sawickiej w Stróży. Na długości około pięciuset metrów, między ulicami Tuszyńską a Czajewskiego, poszerzona zostanie jezdnia drogi i utwardzone pobocze. Na prace te powiat wyasygnuje sześćdziesiąt tysięcy złotych, a budżet gminy partycypować będzie w przedsięwzięciu kwotą trzydziestu pięciu tysięcy złotych.

Rzecz jest o tyle istotna, że modernizacja ulicy w Stróży stała się możliwa jeszcze w tym roku dzięki oszczędnościom przetargowym poczynionym w fazie przygotowywania inwestycji w innym sołectwie naszej gminy. Okazało się bowiem, że na zakończone dwudziestego ósmego września roboty drogowe na ponad pięciuset metrowym odcinku ulicy Słowiańskiej w Bedoniu Wsi inwestor wydał o blisko sto tysięcy złotych mniej, niż początkowo zakładał. Przedsięwzięcie drogowe w Bedoniu oszczędziło sześćdziesiąt tysięcy złotych w budżecie powiatowym i trzydzieści pięć tysięcy złotych w naszym, gminnym. Budżet gminy inwestycja ta kosztowała – w postaci finansowego wsparcia dla powiatu - sześćdziesiąt pięć tysięcy złotych, a przewidywano, że będzie kosztować sto tysięcy! Pieniądze zaoszczędzone w Bedoniu Wsi przeznaczone zostały na inwestycję w Stróży, która pierwotnie planowana była na rok przyszły.

Patrząc zatem na sprawę przez pryzmat naszych interesów, w końcówce roku „W powiecie” słyhać nie najgorzej. O tym natomiast co słyhać „U sąsiadów” postaramy się Państwu opowiedzieć wkrótce.

K.S.



Z perspektywy sołtysa

Nie, nie można powiedzieć, żeby było coś, co spędza sen z powiek. Wszystko toczy się w swoim rytmie. Sprawy załatwane są sukcesywnie i zmierzają we właściwym kierunku. Może tylko ta Barachówka... Tak, to jedno tylko niespełnione dotąd pragnienie sołtysa Andrespola Mariana Turzyńskiego. Chciałby, żeby teren między ulicami: Turystyczną a Brzezińską stał się kiedyś parkiem. Z alejkami z prawdziwego zdarzenia i oświetleniem. A jeśli pośluką lampy, powybijają... Więc co, w ogóle nie robić? Nic nie robić..? Gdyby tak myśleć o sprawach, o rozwoju i problemach do rozwiązania, to na zapleczu Urzędu Gminy zamiast parkingi i skwerku do dziś byłoby błoto.

Sołtys, to prawa ręka wójta. W taki sposób o swoim sołectwie myśleć nie może. Zwłaszcza jeśli ... tak – jak Marian Turzyński – jest radnym.

Nie od razu chciał być sołtysiem. Przeżył siedemdziesiąt jeden lat i nigdy nie należał do żadnej partii. Był za to w „Solidarności” i w stanie wojennym za działalność w związku, za kierowanie zakładową organizacją w zakładzie dla głuchoniemych w Andrzejowie, dyrektor raptownie za dalszą pracę mu podziękował. Chciał nawet zorganizować mu pobyt w obozie dla internowanych, ale - w sumie chyba szczęśliwie dla Turzyńskiego - obyło się bez tego. Postawiony jednak wobec perspektywy braku środków na utrzymanie rodziny, technik elektroenergetyk Marian Turzyński musiał swą drogę zawodową zacząć od początku. Od nowa, ale inaczej. Już nie na państwowej posiadzie, ale na swoim. W 1982 roku w Andrespolu otworzył zakład naprawy sprzętu domowego i przewijania silników.

Choć w Andrespolu mieszka od 1954 roku, dopiero wówczas – przyjmując zamówienia od odwiedzających zakład klientów - zaczął poznawać ludzi. Mieszkańców gminy. Jeszcze więcej poznał ich – i oni jego - przed pierwszymi wyborami samorządowymi, na początku lat dziewięćdziesiątych. Działał wtedy

w gminnym Komitecie Obywatelskim, chodził po domach, prezentował sylwetki kandydatów do samorządu spoza peerłowskiego układu. Sam się do rady nie pchał. Nie był w aktywie. Raz dlatego, że nie miał na to czasu; dwa, że nigdy jakoś nie widział się w pierwszym szeregu. W każdym razie, długo się tam nie widział.

Przełomowym był rok dwa tysiące dziewięć. Wtedy - po śmierci poprzednika Tadeusza Konika - po raz pierwszy wybrali go w Andrespolu sołtysiem. Sporo osób znało już wówczas pana Mariana. Z zakładu naprawy silników, z Komitetu Obywatelskiego, a przede wszystkim z Gminnej Komisji Mieszaniowej, której Turzyński przewodniczył jakieś dziesięć lat. Do czasu, gdy wójtem został Andrzej Abramczyk, który bez słowa wyjaśnienia i bez jednej nawet z Turzyńskim rozmowy... społeczną komisję zlikwidował. Ale komisja okazała się dobrą szkołą społecznej działalności. Rocznie wpływało do niej osiemdziesiąt, sto podań o przydział komunalnego mieszkania. Mieszkańców było sześć, osiem... W komisji ważne było, żeby w efekcie jej pracy nikt nie czuł się pokrzywdzony. Ważne więc były dwie rzeczy: wnikliwość i uczciwość. Te cechy Turzyński wyćwiczył tam do perfekcji. I zostało mu to do dziś.

W dwa tysiące jedenastym ponownie został sołtysiem. W kolejnych wyborach znów, a w ostatnich wyborach samorządowych wybrano go radnym. Wystartował, bo po przejściu na emeryturę miał już czas i postanowił wykorzystać go na pomaganie innym. Jak kiedyś w mieszkaniowej komisji, ale na wyższym poziomie. Na szczeblu rady. Trochę się nad tym zastanawiał. Nie chciał - wbrew swej dotychczasowej zasadzie niewiązania się z żadnym ugrupowaniem politycznym – podparcie się w wyborach jakimkolwiek szyldem politycznym... Stworzył więc swój komitet – apolityczny komitet Mariana Turzyńskiego i wygrał.

Zastanawiał się, ale rozmawiając z kolegami

sołtysami z Justynowa i z Wiśniowej Góry – z Romualdem Bulesowskim i Pawłem Gamysem, którzy już w poprzedniej kadencji byli sołtysami i radnymi jednocześnie – zrozumiał, że w pracy społecznej połączenie tych dwóch ról daje nieprzeciętne możliwości. Z perspektywy sołtysa więcej widać; z perspektywy radnego więcej się wie i więcej można. Zdecydowało jeszcze coś, o czym Marian Turzyński mówi półgębkiem... Powszechnie i bez patosu – ocena pracy i dobroku pierwszego w gminie wójta wybranego spośród swoich, z grona tutejszych mieszkańców. Szalę decyzji o startowaniu w wyborach przeważało zaufanie do wójta Kubusa, którego rodzinę Turzyński zna przecież i szanuje od dawna.

Dziś, po wielu latach sołtysowania i roku bycia radnym Marian Turzyński rzeczywiście wiele o gminie może powiedzieć. Wie ile zmieniło się na plus i dlaczego. Nie tylko w sferze gminnej materii. Drogi, kanalizacja, to fakty! Tak. Jednak zmiany dostrzec można również gdzie indziej. Na przykład w obyczajach sprawowania władzy w gminnym samorządzie. Na początku lat dziewięćdziesiątych – co Turzyński miał czasem okazje obserwować – posiedzenia Rady Gminy trwały niekiedy od dziewiętej rano do pierwszej w nocy. Każdy starał się ciągnąć w swoją stronę – Justynów sobie, Andrespól sobie, Wiśniowa tak samo... Klótnie i wydzieranie. Teraz jest inaczej. Radni, a wśród nich i Turzyński, mają często różne zdania, ale mają jeden cel – interes całej gminy. Mają przede wszystkim zakorzenione przekonanie, że problemy rozwiązywać należy planowo, po kolei i sukcesywnie.

Patos, pustosłowia..? Nie – rzeczywistość, którą widać niemal za każdym oknem w gminie. Gdyby nie systematyczna praca kolejnych, ostatnich samorządów – ale przecież także sołtysów - na polu za Urzędem Gminy w Andrespolu nadal byłoby błoto. I w Justynowie, w Janówce i gdzie kto chce też! Dlatego Marian Turzyński na jakiś czas – jak powiada – musi wyciszyć w sobie marzenie o parku na Barachówce. W przyszłym roku szkoła w Wiśniowej ważniejsza. O niedokończony gminnej kanalizacji nie wspominając.

K.S.



Są rzeczy, pojęcia i światy, które opisać najtrudniej. Dwa tygodnie temu trzydzieści pięć par małżeńskich z naszej gminy obchodziło uroczyste swe złote i diamentowe gody. Relację z tego spotkania w Wiśniowej Górze prezentujemy na pierwszej stronie. Postanowiliśmy jednak zrobić coś więcej. Prezentując krótkie historie wybranych związków, postanowiliśmy opowiedzieć Państwu

Kaczmarczykowie, Kazimiera i Wiesław Kępka, Teresa i Bogusław Kosatka, Anna i Stanisław Kozłowski, Stanisława i Tadeusz Kuleta, Helena i Edward Łudzikowie, Bogusława i Wiesław Maciejczakowie, Maria i Kazimierz Madaliński, Julia i Henryk Marciniakowie, Wiesława i Kazimierz Misiakowie, Kazimiera i Tadeusz Pietrzyk, Genowefa i Jan Pira, Stefania i Stanisław Srogosz, Leokadia i Waclaw

Godne jubileusze dojrzałych uczuć

o... miłości. Nie wydumanej, ale prawdziwej. Dojrzałej. Takiej, o której Jonathan Samuel Carroll - amerykański twórca fantastyki - powiedział chyba wszystko: „Chcieć się razem zestarzeć jest jedynym dowodem wielkiej miłości”.

W tym roku złote gody - pięćdziesiąt rocznicę ślubu - w naszej gminie obchodzili Państwo: Zofia i Jerzy Baško, Halina i Ryszard Clapa, Alicja i Zdzisław Cyrulscy, Anna i Marian Domańscy, Krystyna i Jan Frydrychowicz, Romualda i Jan Gabara, Krystyna i Ziemowit Goździkowie, Adela i Stanisław

Stawiany, Wiesława i Józef Stepień, Daniela i Marian Szatkowscy, Wiesława i Michał Turek, Hanna i Kazimierz Wachowicz, Stanisława i Czesław Waścikowscy, Marianna i Franciszek Wójciakowie, Helena i Ryszard Zgliński.

Sześćdziesiąt rocznicę związku w tym roku obchodzą Państwo: Helena i Julian Banachowicz, Genowefa i Piotr Duda, Marianna i Ignacy Jaciubek, Henryka i Grzegorz Janczewscy, Honorata i Tadeusz Królewiakowie, Teresa i Feliks Olewiński oraz Janina i Jan Starostowie.



W ten piątek w ośrodku kultury było wzniośle, ale nie patetycznie. Był kieliszek szampana i głośnie, wspólne „Sto lat”.

Wiemy, że historia związku każdej z tych par jest równie frajdująca, jak opowieści o uczuciach, które prezentujemy niżej. Cóż, nie o wszystkim i nie o wszystkich

z technicznych czysto względów możemy opowiedzieć. I zresztą, chyba nie o to chodzi. Miłość, jeśli jest prawdziwa, rozświetla ludzkie życie - opowiedziana, czy nie...



Krystyna i Ziemowit Goździkowie

Szczęśliwym można być w każdym wieku. Trzeba tylko coś robić, mieć jakieś zainteresowania, najlepiej pasję. Ona ma - studia w Uniwersytecie Trzeciego Wieku. I kto by pomyślał ponad pięćdziesiąt już lat temu - kiedy w Łodzi w Miejskim

Domu Kultury spotkali się po raz pierwszy - że kiedyś pani Krystyna tak to będzie widziała?

To pierwsze spotkanie w MDK, to było „Spotkanie z piosenką” popularnego wówczas Tadeusza Woźniakowskiego. Tego od „Rudego lisa” i „Zi-

Sztuka kochającego milczenia

mowej herbatki”. Był nastój i pierwsze, jeszcze niewiele znaczące spojrzenie w oczy. Byli ledwie nastolatkami. Czasy były jednak inne. Jakoś szybciej chyba się dorastało, bo mając szesnaście lat Ziemowit - dziś już pan - Goździk samodzielnie wybrał się na autobus. Jeszcze wcześniej, czternastoletniego syna ojciec wysłał do centrali firmy, do Warszawy po wypłatę dla robotników.

Kto wie, pewnie także w ten sposób w młodych ludziach kształtuje się samodzielność i odpowiedzialność - za własne i kochanej osoby życie. Dzięki temu, mając świadomość celu, zdobywa się kiedyś wykształcenie, doświadczenie na prestiżowych, zagranicznych budowach, zakłada własną firmę.

Jednak paradoksalnie, pan Ziemowit nigdy nie był przesadnie dobrze zorganizowany. Pani Krystyna gotowa jest się nawet uprzeć, że z męża zawsze po prostu był... bałaganiarz. I mówi to otwarcie, z czułym uśmiechem na ustach. Z takim, jakim obdarzyć może mężczyznę jedynie kochająca żona. Bo czego się wstydić, kiedy w wieku siedemdziesięciu trzech lat potrafi się jeszcze i chce prowadzić własną, wziętą na rynku firmę? A Ziemowit Goździk potrafi i chce. A poza tym, chodzi także i o to, by dać żonie szansę spełnienia na co dzień. Jeśli jemu - zajętemu

biznesem i zdobywaniem dla rodziny pieniędzy - zdarza się nie ogarnąć tego, co w domu na co dzień, to przecież ma żonę. Ona ogarnia.

Tak było od początku. Również w czasach, gdy krótko po ślubie, w Łodzi - w małym pokoiku z meblami na raty - tworzyli swój pierwszy dom. Gdzie przeżywali pierwszy czas zauroczenia, gdzie rodzilo się coś, co oprócz miłości, zespała małżonków na zawsze - przyjaźń.

Kilka lat temu przenieśli się do Wiśniowej Góry. Blżej natury, bliżej wcześniej osiadłych w gminie dzieci. Zdecydowali wspólnie, ale przeważała opinia Ziemowita. Żonie nie od razu się tu podobało. W każdym razie, nie podobało się dopóki - wybierając się do znajomych w Łodzi - jeździć musieli pakaesem... Teraz jest inaczej. Teraz to ich miejsce do życia. Rzadziej się stąd ruszają. Zjeżdżili świat. Nawet Indie, gdzie Ziemowit Goździk przez lata budował elektrownię. Dziś Wiśniowa już im wystarcza. Dom prawie pod lasem, gdzie są dojrzałe emocje: miłość, przyjaźń i przywiązanie. Także wspomnienia. Gdzie można czasem pomilczeć, bo milczeć we dwoje, to także sztuka.

Miłość, wiara i odpowiedzialność

Przed operacją bajpasów lekarz nie dawał mu stu procent szans na przeżycie. Powiedział wprost: co dwudziesty chory wypada z kolejki oczekujących na operację... Wiesław Kępka nie wypadł. Żona nie ma więc już jakiś wyjątkowych, trudnych, wciąż niespełnionych marzeń. Wszystko jest tak, jak powinno. Jak pani Kazimiera chciała i o co się często modliła. Mąż mimo przebytej, ciężkiej choroby - normalnie dziś funkcjonuje; synowie obojętni, stateczni; dom okazały - w Andrespolu stoi już dobrze ponad dwadzieścia lat... Życie pani Kazimierzy - i całej zresztą rodziny Kępków - solidnie uporządkowane. Silnie osadzone w tradycji. W odpornych na nowe mody, trwałych wartościach. Od zawsze.

Już w narzeczeństwie, kiedy z Łodzi na sobotnie popołudnie i niedzielę wracał do rodzinnych Kurowic - gdy ciągnął tu po pracy w łódzkiej stolarni także po to, by spotkać mieszkającą w tych stronach Kazię - wiedział na przykład, że po ósmej wieczorem nie powinno się na wieś wychodzić. Nie przyzwyczajenie, wbrew dobremu wychowaniu i dobrej tradycji.

Ona myślała tak samo i właśnie dlatego ją wybrał - pracowita, obojętna... Widać było, że kiedyś - dobra gospodyni. To się wie nawet przed

ślubem. Jeśli młoda dziewczyna obowiązek potrafi postawić ponad przyjemność, to idealnie się na żonę nadaje. Każdy mężczyzna - nie mówiąc o tak dobrze zorganizowanym życiowo, rozważnym i sumiennym jak pan Wiesław - instynktownie wyczuje, że taka kobieta zawsze się sprawdzi. Nie zawiedzie.

Znali się jeszcze z uczniowskich czasów. Potem on, mając szesnaście lat, zaraz po szkole wyjechał do pracy. Do Łodzi, ale przyjeżdżał. Wracał... Chodzili trzy lata - wiejskie zabawy, ludowe imprezy, majówki... I potem ślub. I tak jak czuł - nie zawiodła. Nawet wtedy, gdy wydawało się, że o ratunek dla męża niezwykle trudno. Mówi się, że w takich momentach ludzie się sprawdzają. Kochające się pary cementują. Cementują te, w których jedno na drugim może się wesprzeć. To rodzi zaufanie, łatwiej wówczas o kompromis, a nawet wybaczenie.

W takim małżeństwie spełnia się ona i on.

Dla wewnętrznego spełnienia właśnie - dla potrzeby obdarowania parafii i sąsiadów - pan Wiesław przed laty ufundował ławki w andrespolskim kościele. Ławki i inne stolarskie wyposażenie, a kilka lat wcześniej witraż. Dla potrzeby bycia sobą do końca wciąż nie zwalnia tempa i od sześćdziesięciu lat pracuje zawodowo. Teraz, od wielu lat we włas-



Kazimiera i Wiesław Kępkowie

nej firmie. Każdego dnia rano jedzie do Pabianic, wraca o siedemnastej. Dzień w dzień - tak definiuje się męską odpowiedzialność. Przystanie, kiedy najstarszy wnuczek zacznie w fabryce pracę. Jeszcze trochę - teraz jest na politechnice - i pan Wiesław

będzie sobie mógł pozwolić na odpoczynek. Z Kazią zostanie w domu.

A ona...? Cóż, Kazia wdycha tylko do Kogo trzeba - żeby Bozia dała jeszcze trochę im pożyć razem.

Honorata i Tadeusz Królewicowie



Tamten milicjant wyrozumiały był i specjalnie się nawet nie zdziwił. Zapytał – A co wy tutaj, nocą z małym dzieckiem w tej szoferce robicie...? Nic, śpią bo nad wodę przyjechali aż z Andrespola. Uśmiechnął się i powiedział – Dobrze, wdychajcie sobie tego jodu, wdychajcie... Teraz, po przeżytych sześćdziesięciu latach w mał-

żeństwie, trudno wybrać ten jeden, najszczęśliwszy dzień. Lubiła kiedy – jadąc w służbową podróż – mąż zabierał ją zakładowym samochodem nad wodę. To było dawno, gdy pan Tadeusz Królewic jako kierowca pracował jeszcze w „Ceramice” i z zapalem działał w andrespolskiej straży. Ciężko było więc pani Honorata, żeby grosz zarobić, prak-

Miłość w białym kitelku

tykantom z „Ceramiki” wypuszczała pokoje. Dlatego na tamtej, okazyjnej wycieczce z małą Beatką do Gdańska w trójkę spali w szoferce. No, to chyba Beata była... Najmłodsza z trójki rodzeństwa.

Ciężko było. A już najbardziej kilka lat po ślubie, kiedy dom na Projektowanej stawiali, ale jakoś radośnie. Szczęśliwie, można powiedzieć.

I właśnie wśród radosnych emocji, oklasków i wesolych pokrzykiwań uczucie się rodzilo – na wiejskim, piłkarskim boisku. Na meczach w Andrzejowie, podczas których Królewic – amator futbolista rodem z Galkówka – czarował bystrością i piłkarskim sprytem swoją wybrankę. Młodziutką Honoratkę. Pamięta to do dziś i do dziś jej to imponuje. Brał ją z sobą nie raz, a ona zawsze zabierała z sobą koleżankę Krysę. Nie wypadło z chłopakiem na mecz gdzieś jechać tylko we dwoje. Nie ładnie.

Zanim w pięćdziesiątym piątym wzięli ślub i zanim Tadeusz przeszedł do „Ceramiki” widywali się dość często. Zwykle, gdy Honoratka wracała z pracy w Rejonie Lasów w Bedoniu, Tadeusz w tym swoim białym kitelku czekał na nią przed restauracją przy skrzyżowaniu. Pra-

cował wtedy w restauracji i zwykle miał dla niej w kieszeni cukierki. Restauracji już nie ma, w szafie pani Honoratki nie ma już także tamtego ślicznego, zielonego płaszczyka, na widok którego przed restauracją Tadeusz tak czekał. Ani ładnej czapeczki... Czame kiedyś, a posiwiale dziś loki na jej głowie jednak zostały. Została pamięć o tym, jaki przez lata był dla niej i córek dobry. Pracowity i ustęp- liwy. Wspomnienie jego powrotów z trasy i pochowanych w kieszeniach drobnych – od lepków, przygodnych pasażerów zbieranych po trasie, na których szofer zawsze mógł przecież zarobić. Zawsze za ten grosz umiał dziewczynki ucieszyć – nieoczekiwanym batonikiem, kupionym po drodze ciasteczkiem, albo czym tam jeszcze.

Dobry był i jest. Ona – ale i dzieci i wnuki – dla niego też. Także teraz, po udarze i amputacji nogi. Przez moment nie zostaje sam. Beata nawet od czasu do czasu przepytuje z tabliczki mnożenia... Żeby – mimo przebytej choroby – mózg się nie wyłączył. Żeby nie zapominał. Tak jak przed laty zapominał czasem Honoratce podarować ukryte w kieszeni kitelka cukierki. A ile było śmiechu, kiedy sobie wreszcie przypominał...

Szczęście nie wite różami

Kiedy już komuś zaufa, przyznaje wprost – zawsze chciał mieć dwa konie i... okazały w kształtach kobiety. Pani Helena zachwyciła go właśnie urodą.

Zacząło się piętnastego sierpnia, w Matki Bożej Zielnej. Kiedy po pierwszym dla nich, wspólnym wiejskim odpuszczeniu pod Krakowem pan Edward Łudzik wrócił z rodzinnych stron do nowego domu rodziców na łódzkim Olechowie – kiedy powiedział tacie, że zakochał się w córce kolegi ojca z czasów jego młodości – nie usłyszał zachęty. Rodzina Łudzików w łódzkie przeniosła się z Małopolski. Tam, w sąsiedniej wsi mieszkała rodzina Heleny. Zнали się. Pani Helena miała dziesięcioro rodzeństwa, a to w świecie silnie osadzonych w tradycji i małych poletkach chłopów z Galicji nie była dobra rekomendacja... Matka odwołała się do prawdy przekazywanej od wieków: Jak sobie pościelesz, tak się wypisiesz.

Edek się uparł – prawie ojcu wykrzyczał, że ożeni

się z nią, albo żadną! Ona też była za. Bardzo. Wysoki był, przystojny, postawny, jak mało który. Nie było telefonów, ani komórek. Pisali listy, a każdy szedł ponad tydzień. Prawie się nie widywali, ale trzy miesiące po Zielnej był ślub.

Zamieszkali z rodzicami Edwarda na Olechowie. Wtedy jeszcze na wsi, w gospodarstwie Heleny teściów źle nie było. A to, że mąż był ze wsi było dodatkowym atutem. Nie wyobrażała sobie, że może iść za kims – choćby najprzystojniejszym – do miasta. Pracowała w gospodarstwie teściów. On w „Wifamie” jako frezer. W latach osiemdziesiątych, kiedy na Olechowie zaczęły powstawać bloki, kupili ziemię w Bedoniu. Też Wsi i tak zostało.

Na początku trudno tu było. Inaczej niż na Olechowie, gdzie znali wszystkich sąsiadów. Dzień po dniu wgrzyzali się w nowy dla siebie świat. Edward wstąpił w Bedoniu do straży. W OSP zaczął działać jeszcze

Helena i Edward Łudzikowie



w Łodzi. Jak skończył szesnaście lat. Po latach – na jakiś czas – został we wsi sołtysem. We wszystkim pomogło wzajemne zrozumienie i to, że jedno drugiego nie skłamię, że jedno drugiemu umie ustąpić.

Są szczęśliwi. Mają prawnuczkę i dwoje wnucząt. Były trzy, jedną Pan Bóg zabrał... Wtedy właśnie było

najciężej, ale od czego jest miłość...? Od tego, żeby było się na kim oprzeć. Wciąż jeszcze, po pięćdziesięciu latach od tamtego odpustu, czasem tęskno z drugiego pokoju za nią zawoła: Hela, Hela... I ona przyjdzie. I jest wtedy dobrze, chociaż nie ma tak przecież, że życie różami jest wite.

Wiesława i Kazimierz Misiakowie



Wiedziała od razu. Spojrzała mu oczy i zrozumiała – to On... Dziś Wiesława i Kazimierz Misiakowie z rozrzwiniem i wspomnieniami wracają do tamtych dni. Do pracy w łódzkich Zakładach 1-go Maja, gdzie pani

Wiesia była brygadystką, a jej przyszły mąż ślusarzem, awansowanym później na kierownika. Tam się poznali i może szybciej by się pobrali, gdyby Kazimierz nie poszedł do wojska.

Od pierwszego spojrzenia...

Służył dwa lata, ale nie zapomniał, nie zostawił. Miał szczęście. Jak wiele lat później w gminnej kapeli, tak i wtedy – w wojsku – już muzykował. Grał na klar-necie więc o przepustkę było łatwiej. Przyjeżdżał do swojej Wiesi, jak często się dało. Po wojsku ze ślubem nie zwlekał.

Kazimierz zawsze był aktywny – praca, dom i muzyczne pasje. Często z zespołem wyjeżdżał, a Wiesia czekała. Był jak kot. Lubił chodzić swoimi ścieżkami. Tak jest do dziś. Nie gra już wprawdzie w zespole, ale wiosną, latem i wczesną jesienią są szachy. W Łodzi – w Parku Staromiejskim, na Stawach Jana. Kazimierz wsiada na rower i jedzie, a żona – jak dawniej – czeka. Czeka, bo kocha. Tak jak on ją. Jak kot, który wieczorem wraca... Tak, czasem się posprzecząją. Jak wszyscy. Jednak nigdy ciche chwile nie trwają dłużej niż pół godziny. Przecież zwykle przychodzi wówczas do niego i pyta

z uśmiechem: Kaziu, chcesz herbaty...? Bo w małżeństwie najważniejsze jest zrozumienie, wybaczenie i niedokuczanie jeden drugiemu. A jak było? Jak się na co dzień żyło...? W PRL brakowało prawie wszystkiego, ale Kaziu wiele potrafił załatwić, wystać w sklepowej kolejce, jakby spod ziemi wyskrobać. I zawsze w zanadrzu miał żart. Kiedyś przyniósł do domu salceson... Zwyczajnie, ale zaciekawionej, małej jeszcze wtedy córeczce – kiedy go zapytała co ma w siatce – powiedział, że to coś niezwykłego... Czarowne rozmaitości w jednym flaku.

Dobrym był mężem. I jest. Ani jej, ani dzieciom chleba przy nim nigdy nie brakowało. A najszczęśliwszy dzień? – Wszystkie były szczęśliwe, bo mogli przez te pięćdziesiąt lat być razem. Oboje tak na to patrzą. I Bogu tylko dziękować, że dał im ten wspólny czas.

Zauroczenie i dużo, dużo więcej

Zaczął prawie jak u Hitchcocka. Nie wywołał wpraw-dzie trzęsienia ziemi, ale za to... podpalił rzekę. Kiedy na jakiś czas przed ślubem Franciszek Wójciak pierwszy raz pojechał na Podkarpacie, by przedstawić się krewnym przyszłej żony Marianny, skończył długim pobyt-em w rzeszowskim szpitalu. A wszystko przez nieod-partę pragnienie efekownego wejścia w rodzinę, odrobinę młodzieńczej nonszalancji i chemikalia z laboratorium andrespolskich Zakładów Ceramiki Budowlanej.

Chciał zabłysnąć, jak każdy zakochany chłopak z fan-tazją. Do tego chemik – z wykształcenia i zamilowa-nia. Nie wystarczyło, że młodziutkim kuzynkom Marianny pokazał, iż – wylawszy odrobinę odpowiednio dobrej sub-stancji do miski – potrafi podpalić wodę w miednicy. Chciał, by ogień popłynął pobliską rzeczką... Udało się, woda w strumieniu za sprawą Franciszka zapłonęła. Potem jednak była eksplozja, poparzona twarz adoratora i szpital.

Tak to wówczas prawie już narzeczeństwo się zaczę-ło i trwało jeszcze długo, bo Pani Marianna była bardzo os-tróżna. Ojciec radził, by po doświadczeniu z ogniem w rze-ce szczególnie uważała. Jak się w tych radach zapędzał, to

mówił by dała sobie z tym narzeczeństwem spokój... Obserwowała więc przyszłego męża ponad rok. Także – jak dziś przyznaje wprost – z powodu nie najlepszych doświadczeń wyniesionych z domu, w którym dobre relacje między rodzicami nie zawsze rzucały się w oczy. W końcu jednak potrafił ją ująć.

W Andrespolu po pracy – oboje zatrudnieni byli w labo-ratorium tutejszej ceramiki – potrafił zorganizować jej czas. Zapraszał na spacer, do kina w Łodzi, czasem odwiedził w wynajmowanym przez nią pokoju – jak się to wtedy mó-wiło – „na stancji”. Nigdy jednak nie był nachalny. Zawsze delikatny, taktowny, dobrze zorganizowany. Dla niej to było ważne, bo w tamtych czasach dziewczyna po latach spędzonych w szkolnym internacie, potrzebę uporządkowane-go życia miała we krwi.

Pan Franciszek potrafił jej to dać. Czekal, jakby już wte-dy wiedział i akceptował, że dla Marianny miłość to nie wszyst-ko. Zauroczenie zauroczeniem, ale równie mocno liczy się porozumienie, podobne nawyki i oczekiwania. Wspól-ny język i w końcu przyjaźni.

Czekał cierpliwie i tym ją właśnie ujął. A ona jego? -



Nie ma co kryć, bez wątpliwości! Swą narzeczeńską – jak to nazywa Franciszek – dziewczęcą... niedostępnością. Kiedy więc po długim roku konsekwentnej – chłodnej momentami obserwacji – przez narzeczoną niezrażony pan Franciszek jesienią postanowił się oświadczyć, na Boże Narodzenie był ślub. A potem było zwyczajne życie. Oszczędnościowa książeczka, zakładowe pożyczki, pierwsze meble na raty... Zaoczne studia Franciszka, jego kolejne zawodowe awanse,

funkcja społecznego zastępcy wójta w pierwszym wolnym andrespolskim samorządzie i oczywiście – dzieci. Zdolne, spośród których najstarszy syn znalazł swoje miejsce na ziemi w kalifornijskiej Krzemowej Dolinie.

Było i jest życie – jak to sumują w roku jubileuszu – wypełnione konkretami, w którym nigdy nie było czasu na głupstwa. Na małżeńskie przepychanki psujące związek od samego środka.



Prezent w serce opakowany

Tego dnia nie zapomni już nigdy. Marzeniem tamtej dziewczynki był remont pokoju. Jemu w udziale przypadła naprawa instalacji elektrycznej. Pomagał wówczas znajomym działającym w fundacji „Mam marzenie”. Praca była ciężka. Zajęła cały dzień. Nic nie zarobił, ale wracając czuł, że był to najlepiej zainwestowany czas w życiu. Tak właśnie zaczęła się przygoda Rafała Adamczyka z wolontariatem. Wkrótce znalazł się w Szlachetnej Paczce. Teraz, po trzech latach od tamtego dnia, szuka wolontariuszy w gminie Andrespol, bo SZLACHETNA PACZKA trafiła i do nas.

Ta akcja, to ogólnopolski projekt Stowarzyszenia Wiosna. W dwa tysiące pierwszym roku, w Krakowie założył je ksiądz Jacek Stryczek. Szlachetna Paczka od piętnastu lat łączy potrzebujących z osobami, które chcą im pomagać i potrafią czerpać z tego radość. Łącząc biednych i bogatych - dobroczyńców przygotowujących pomoc, a także finansujących organizację projektu- wolontariuszy i rodziny w trudnej sytuacji, buduje społeczeństwo, w którym można liczyć na pomoc innych. Rok temu paczka zjednoczyła ponad milion osób, ponad dwa i pół procent Polaków. Pomogła dziewiętnastu tysiącom pięćset osiemdziesięciu rodzinom żyjącym w biedzie.

Szlachetna Paczka wciąż rozszerza zakres swojego działania. Na przełomie sierpnia i września bieżącego roku Rafał Adamczyk został liderem akcji w naszej gminie. Dotąd na tym terenie, między Brzezinią, Kuluszkami a Łódzkim Widzewem - gdzie paczka aktywna jest od lat - wolontariuszy projektu nie było. A przecież w Andrespolu i okolicy także są ludzie, którym warto pomagać. Latem Rafał pojawił się więc w gminie. Zaczął szukać wolontariuszy. Prawdziwych SUPER W, których zadaniem jest znalezienie rodzin naprawdę biednych, określenie ich potrzeb, dotarcie do darczyńców - fundatorów paczek. Na końcu łańcucha działań, w dniu

finału akcji - zawieszenie podarunków do rodzin i przekazanie darczyńcom informacji o tym, ile radości przysporzyły swymi paczkami potrzebującym. Darczyńcy bowiem z zasady pozostają anonimowi.

U nas paczka wciąż nie jest znana. Teraz już będzie. Dzięki pełnemu szlachetnego zapału trzydziestolatkowi z Łodzi Rafałowi Adamczykowi i ludziom z gmin, którzy postanowili mu pomóc - dzięki Paniom: Kseni Brzezińskiej-Rum ze szkoły w Bedoniu, Agnieszce Sobanty z andrespolskiej fundacji „Dobra Nowina”, Jolancie Konik z Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, Beacie Nowak ze Stowarzyszenia Rozwoju Justynowa i Janówki. Także - Panu

Robertowi Sękowskiemu ze szkoły w Wiśniowej Górze.

Miesiąc przed Bożym Narodzeniem informacje o rodzinach potrzebujących wsparcia umieszczone zostaną w anonimowej bazie internetowej na stronie www.szlachetnapaczka.pl, Będziecie mogli Państwo wybrać jedną z nich i - przy wsparciu wolontariusza - przygotować dla niej paczkę. Informacja o Państwa wyborze automatycznie dotrze do wolontariusza i wkrótce SUPER W się z wami skontaktuje. Idealnie, gdy paczka stanie się impulsem do zmiany, gdy zmotywuje ludzi do ich własnej, samodzielnej walki z biedą. Do wygrywania swojego życia, mimo przeciwności i porażek.



Warto to poczuć. Warto spróbować. Aby dołączyć do drużyny wolontariuszy - zamiast narzekać, że z tym czy tamtym „ktoś powinien coś zrobić” - wystarczy się zarejestrować na stronie i zacząć działać.



Szlachetna Paczka, to ogólnopolski projekt Stowarzyszenia Wiosna. W dwa tysiące pierwszym roku, w Krakowie założył je ksiądz Jacek Stryczek.

A Rafał mówi, że to się często udaje.

- Dla mnie - tłumaczy - spotkania z rodzinami, poznawanie ich historii, a także możliwość zorganizowania dla nich pomocy jest cudownym doświadczeniem. Pierwszy dzień w Szlachetnej Paczce był jednym z najważniejszych wydarzeń mojego życia, a kontakt z ludźmi poznanymi przy tej okazji został na lata. Niektórzy z nich, to prawdziwi bohaterowie. Czasem z zewnątrz wyglądają na biednych i bezradnych, a tak naprawdę - przy dokładniejszym poznaniu - okazuje się, że ich osobowości powodują, iż jest ich za co podziwiać. A nawet, jest im czego zazdrościć.

Z pewnością warto to poczuć. Warto spróbować. Aby dołączyć do drużyny wolontariuszy - zamiast narzekać, że z tym czy tamtym „ktoś powinien coś zrobić” - wystarczy zarejestrować się na www.superw.pl i zacząć działać.

K.S.

„W Centrum Polski” Zapraszamy do reklamy!

Prowadzenie biznesu bez reklamy, jest jak puszczanie oka do dziewczyny po ciemku. Nikt poza nami nie wie, co robimy... Prawda stara, ale znana każdemu, kto choć raz w życiu próbował coś sprzedać na nasyconym rynku. Obojętnie, usługę, czy produkt! Jak trafnie zdefiniował to amerykański pisarz, spec od coachingu - od nastawionej na stałe polepszenie efektów ludzkich działań i skuteczne osiąganie celów teorii z pogranicza psychologii i marketingu - Dale Carnegie: „Sukces w sprzedaży nie zależy od tych, których znasz. Ważne jest kto chce poznać Ciebie.”

Pomożemy Państwu. Miesięcznik „W Centrum Polski” otwiera swe łamy dla reklamy.

Nasze pismo ukazuje się w dużej - wystarczającej - ilości egzemplarzy na obszarze jednej z najszybciej rozwijających się gmin w regionie. W gminie, gdzie zarejestrowanych jest blisko 1100 firm. Gdzie jest ponad cztery tysiące gospodarstw domowych, a nasz miesięcznik trafia BEZPOŚREDNIO do co drugiego z nich. Bezpośrednio, oddziałujemy bowiem na Państwa rynek także POŚREDNIO. W gminie mieszka, żyje i - co z punktu widzenia biznesu najważniejsze - pieniądze wydaje ponad dziesięć tysięcy pięćset dorosłych mieszkańców, a część egzemplarzy naszego miesięcznika czyta więcej niż jeden z nich! Za naszym pośrednictwem spróbujcie więc trafić do swych nowych, potencjalnych klientów i Wy.

Od najbliższego numeru gotowi jesteśmy zamieszczać reklamy - słowne i graficzne. Każdego formatu - od niewielkich, tak zwanych jednomodułowych o wymiarach: podstawa 60 mm, wysokość 43 mm; do cało stronicowych, składających się z 32 modułów. Oczywiście reklamy cało stronicowe umieszczać będziecie mogli Państwo na każdej naszej stronie - za wyjątkiem pierwszej. Jak to powiedział kiedyś Ford senior: Oferujemy Wam samochód w każdym kolorze, pod warunkiem, że będzie to kolor czarny..!

Proponujemy następujące ceny reklam:

- jeden moduł wewnątrz numeru - jedynie 16 złotych
- ten sam moduł na stronie pierwszej - 24 złote; na stronie ostatniej - 20 złotych; na stronach środkowych, na tak zwanej „rozkładówce” - 18 złotych.

Ceny reklam wielomodułowych stanowią wielokrotność ceny jednego modułu na konkretnej stronie. Przykładowo, za dwa moduły na stronie pierwszej - podstawa 120 mm, wysokość 43 mm lub podstawa 60 mm, wysokość 86 mm zapłacicie Państwo 48 złotych.

Oczywiście nie zawsze!

Dla stałych klientów proponujemy bowiem rabaty: 3 emisje reklamy - 5 proc.; od 5 emisji - 10 proc.; od 10 emisji - 15 proc.; za ogłoszenie na pół strony dodatkowo - 5 proc.; na całą stronę - 10 proc. rabaty za liczbę emisji i za powierzchnię reklam modułowych sumują się.

Wiemy, jak od strony marketingu próbować pomóc Państwu w biznesie. Gotowi jesteśmy zatem do negocjacji na temat oferowanych upustów w cenach reklam także w drodze rozmów indywidualnych. Mark Twain - Amerykanin, jak wiadomo, skutecznie rozwinęli swą gospodarkę, tworząc elitę wśród klasyków światowego PR i marketingu - napisał kiedyś: „Wiele rzeczy małych stało się wielkimi tylko dzięki odpowiedniej reklamie.” Biorąc pod uwagę zasięg miesięcznika w gminie i ceny naszych reklam - używając twardego języka marketingu - powiedzić można wprost: koszty dotarcia do grupy docelowej dla wielu funkcjonujących na gminnym rynku firm są znikome

Zapraszamy - adres mailowy i numer telefonu znajdziecie Państwo w redakcyjnej stopce.

O kontakt z nami pytajcie także możecie pod stacjonarnym numerem Gminnego Ośrodka Kultury: 42 213-22-96.

Redakcja



Inaugurujemy kolejną rubrykę - Listy od Państwa. W pierwszym numerze „W Centrum Polski”, prezentując Czytelnikom założenia redakcyjne nowo powstałej gazety, napisaliśmy, że zawierać ona będzie między innymi stałą pozycję czytelniczką pt. „Sądzę inaczej, myślę że NIE...”. Chcemy w ten sposób dać Państwu możliwość prezentowania swojego indywidualnego spojrzenia na sprawy gminy. Rzeczowego i przemyślanego. Wolnego od emocji i słownej agresji, ale niekoniecznie zgodnego ze sposobem widzenia spraw przez ludzi z Urzędu Gminy.

Piszcie - zachęcamy.

Piszcie też, co sądzicie o miesięczniku, o naszych tekstach. Mówi się, że gazeta bez sprostowania, to jak bigos bez kapusty. Mamy więc sprostowanie. Zaczynamy od listu Pana Pawła Garnysa.

Redakcja

Wiśniowa Góra, dn. 29.09.2015 r.

Do
Pana Redaktora miesięcznika
W CENTRUM POLSKI

SPROSTOWANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym odnieść się do artykułu, jaki ukazał się w Pańskim miesięczniku nr 3/2015 z dnia 25.09.2015 r., a dokładnie do rubryki „W klubach, w GOSiR-ze i na „Orliku”. Jest tam tekst, cytując: „Ze sportem sołtys Wiśniowej Góry związany jest niemal od za-

wsze. W 2008 r. został prezesem „pełniącym obowiązki GLKS ANDRESPOLIA. Wcześniej, w początku lat dziewięćdziesiątych, wraz z grupą zapaleńców „szczerze pole” - działkę przekazaną przez Urząd Gminy - przerabiał na coś, co nie było jeszcze obiektem sportowym...”

Otóż, w latach 90-tych nie brałem udziału w budowie boiska oraz zaplecza socjalnego, ale chylę czoła przed tymi ludźmi, oddanymi pięknej idei sportowej, że ze szczerego pola, pracując w czynnie społecznym zbudowali coś, co zaczęło przypominać obiekt sportowy. Warto wymienić tu tych ludzi, którzy swoją ciężką pracą uodowodnili, że nie mając żadnych maszyn, a tylko przy pomocy łopat i grabi zrobili to, co zrobili. Ludzie ci, to Panowie Zdzisław Woźny, Andrzej Fiks, Jerzy Surowiec, Sławomir Jagiello, Jan Machala, Andrzej Wiosna (były prezes), Stanisław Dębski, Zbigniew Gwizdek, Jan Kucharski, Jacek Jarmoliński i wielu, wielu innych, przeproszam, że nie wymienię tu wszystkich. Wielu z tych ludzi pomagało mi, gdy zostałem prezesem i wspólnie modernizowaliśmy obiekt, który teraz przypomina swoim wyglądem obiekt XXI wieku. Wiem, że jeszcze jest dużo do zrobienia, ale cieszę się z tymi ludźmi, że się nam to udało, a ja ze swojej strony deklaruję swoją pomoc i dziękuję pionierom zaczynającym w latach 90-tych od zera, bo bez tego pierwszego kroku, być może dotychczas nie byłoby tego obiektu sportowego.

Z poważaniem
Sołtys Wiśniowej Góry
Paweł Garnys

Na sygnale

Nie chodziło wcale o wiarę w sukces. W każdym razie, nie od początku. Wtedy, w listopadzie dwa tysiące siódmego roku, kiedy Janusz Strzemiński zorganizował pierwszą próbę strażaków-akordeonistów powodowała nimi głównie ciekawość. Wiesław Witkowski dziś - po śmierci założyciela grupy - kierownik Zespołu Akordeonistów OSP Andrespol, a wówczas jego członek założyciel właśnie tak to zapamiętał. Każdy z tamtej pierwszej piątki członków grupy miłość do akordeonu miał we krwi, ale Janusz Strzemiński strażak ochotnik z Andrespolu - w dwa tysiące siódmym roku już prawie emeryt - postanowił tę miłość do akordeonu w nich ożywić. Zarazi pasją wspólnego grania.

Udało się. Dziś akordeoniści z andrespolskiej OSP, to jedenastu muzyków amatorów - dziewięciu akordeonistów, basista i perkusista - znanych nie tylko w gminie, ale i w środowisku muzycznych strażaków w całej Polsce. Bardzo świadomie lub nie - kulturywują tradycję strażackiej orkiestry z czasów formacji przeciwpożarowej założonej w Andrespolu przez Jana Krauze. W pierwszym numerze naszego pisma, inaugurując rubrykę „Na sygnale”, obiecaliśmy Państwu, że o na-

szych strażakach akordeonistach napiszemy więcej. W tym numerze tamtą zapowiedź realizujemy.

Zespół ze strażą związany jest nierozdzielnie. Nie tylko za pośrednictwem swego założyciela, ale także poprzez osobę prezesa gminnych OSP Jana Czyżykowskiego. To właśnie z Czyżykowskim w pierwszej kolejności Janusz Strzemiński rozmawiał o swym pomysle powołania do życia zespołu. Zanim jeszcze poszedł z tym do wójta i zanim wójt - deklarując pomoc władz gminy, niewielkie w sumie wsparcie finansowe - zapalił w gminie przed zespołem zielone światło.

Prezes Jan Czyżykowski jest z nimi od początku. Od dwudziestego szóstego stycznia dwa tysiące ósmego roku, od pierwszego występu na zebraniu sprawozdawczym Ochotniczej Straży Pożarnej w Andrespolu. Od pamiętnego występu, na którym zagrali La Palomę i swój sztandarowy do dziś Marsz Oficerski...Zagrali tylko cztery utwory, ale pierwszy raz mogli się pokazać kolegom, niektórym gminnym radnym oraz najważniejszym ludziom z Urzędu Gminy. Trudno teraz powiedzieć, kto miał wtedy większą tremę. Muzycy amatorzy,

czy przyszli patroni z gminy, którzy nie mogli przecież wówczas wiedzieć - o pewności nie wspominając - że akordeoniści strażacy staną się wkrótce zespołem sławiącym Andrespol poza jego granicami. Wszyscy jednakowo stawali sobie pytanie: jak ten występ wypadnie?

Wypadło dobrze. Od tamtego minikoncertu dla swoich, na różnych scenach całego kraju wystąpili - jak skrupulatnie liczy Wiesław Witkowski - sto dwadzieścia dziewięć razy.

W Głównie, na cyklicznej imprezie „Czar Jesieni” rok po roku zajmowali pierwsze i drugie miejsce. W Uniejowie zdobyli puchar prezydenta miasta. Dwukrotnie brali udział w iwentach „Świat akordeonu” w śląskich Koziegłowach oraz w ogólnopolskich przeglądach muzycznych zespołów strażackich w Cieclocinku i w Wiśle. Grali w Łodzi w trakcie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i w Warszawie przed Pałacem Kultury z okazji Europejskich Spotkań Wolontariuszy. Zawsze w trakcie występu każdy z nich ma przed sobą widoczną z daleka plakietkę z napisem: „OSP Andrespol”. Także w ten sposób rewanżują się gminie. Miejsca skąd się wywodzą i którego dorobek w sferze ludowej przecież - przez amatorów wszak kreowanej - kultury pomnażają i propagują.

Dla gminy - dla jej mieszkańców - robią coś jeszcze. Niezależnie od sukcesów w wielu miejscach poza Andrespołem, kiedy trzeba są i do naszej dyspozycji. Grają koledzy

w kościołach, uczestniczą w parafialnych dożynkach... Zespołu Akordeonistów OSP Andrespol nie zabrakło w trakcie zbiórki pieniędzy na witraże dla kościoła w Justynowie. Współdziałają z Gminnym Ośrodkiem Kultury, biorąc choćby udział w festiwalu Pieśni Zapomnianej. Wobec GOK - i jej dyrektorki Małgorzaty Kopczyńskiej-Zeno - mają zresztą swoisty dług wdzięczności. W trakcie przebudowy andrespolskiej siedziby OSP właśnie GOK stał się na pewien czas ich siedzibą i właśnie jego szefowa organizowała im pierwsze występy poza gminą.

Dziś, po ośmiu latach istnienia pewni już są osiągniętego sukcesu. W każdy piątek znajdują czas, by się spotykać na próbach i doskonalić umiejętności, bo jak powiada Wiesław Witkowski, grają także dla siebie. Akordeon, to odskocznia od codziennosci - od pracy, dzieci i wnuków... Na chwilę, również od rodzin. Chodzi też o to, że chcą być razem, żeby pokazać, że razem coś potrafią. Kiedy półtora roku temu zmarł Janusz Strzemiński, zebrali się na najważniejszym od lat spotkaniu. Na pytanie, czy zespół ma istnieć dalej jednoznacznie odpowiedzieli: TAK!. Żeby odchodzić, założyciel nie zabrał go z sobą, żeby kontynuując Jego pasję, okazać się Jego godnym. Żeby śmierć - wbrew swojej naturze - nie była końcem.

Teraz myślą, by nadać zespołowi imię Janusza Strzemińskiego. K.S.

W sierpniu pisaliśmy o wspólnej inicjatywie władz samorządowych i gminnych miłośników wędkarstwa. W myśl zawartej umowy, stawy w Justynowie będą zagospodarowane. Udostępniając wędkarzom, członkom stowarzyszenia „Marysinek” nasze łamy, rozpoczynamy cykl tekstów informacyjnych pt.: „Kącik wędkarski”. Każdy miłośnik wędkarstwa tu coś dla siebie.

Dwunastego września w Janówce, przy ul. Głównej 53 w stowarzyszeniu przeprowadzono walne zebranie członków. Zebrani - członkowie i kandydaci - zapoznali się z dotychczasową działalnością stowarzyszenia, propozycją ogólnego jak i szczegółowego regulaminu organizacji. Oba dokumenty przyjęte zostały jednoznacznie i można się z nimi zapoznać na stronie internetowej stowarzyszenia, gdzie znajduje się również jego

statut. Chętnych zapraszamy: <https://www.facebook.com/GSWMarysinek?ref=profile>.

Biorąc pod uwagę aktualną, dostępną wędkarzom linię brzegową stawów, ustalono, że maksymalna liczba członków nie może być większa niż dwieście osób. Pierwszeństwo mają mieszkańcy naszej gminy, a jednorazowa składka wpisowa wynosić będzie sto zł plus składka roczna na rok 2016 - 200 zł. Płatne do trzydziestego listopada br. Na zebraniu jednoznacznie przegłosowano propozycję, aby rok 2016 był rokiem połowu sportowego, bez możliwości zabierania ryb z akwenów.

Wnioski dla chętnych do wypełnienia do stowarzyszenia - do których dołączony należy dwa zdjęcia - dostępne są w sklepie wędkarskim w Andrespolu, przy ulicy Tuszyńskiej.

Trzeciego i czwartego października na tere-

Kącik wędkarski

nie stawów odbyły się prace społeczne, podczas których na stawie numer dwa wykaszano porośnięte groble. Członkowie „Marysinka” mają nadzieję, że wkrótce pracownicy ZGK zaczną wykaszować porośniętą wewnętrzną część stawu i gotowi są w tym zakresie do współpracy.

„Marysinek” zachęca zainteresowanych do odwiedzania swej strony na facebooku, gdzie będą zamieszczane wszelkie dotyczące go informacje. O szczegółowy dostępności pytać też w punkcie składania wniosków oraz pod adresem mailowym: gsw_marysinek@o2.pl



Na początku października na stawie numer dwa wykaszano porośnięte groble. Członkowie „Marysinka” mają nadzieję, że wkrótce pracownicy ZGK zaczną wykaszować porośniętą, wewnętrzną część stawu.

SPORT

W klubach, w GOSiR-ze i na „Orliku”

Po pierwszych meczach tegorocznej jesieni sympatykom piłki nożnej w gminie możemy powiedzieć: Odwróć tabelę, a LZS Justynów i Andrespolia będą na czele. Smutne to ale prawdziwe.

LZS Justynów w poprzednim sezonie utrzymał się w V lidze dzięki otrzymaniu ekstra punktów za przyznane drużynie walkowery. W tym sezonie zespół jest najgorszą drużyną rozgrywek w swojej klasie. W ośmiu meczach zdobył jeden punkt i okupuje ostatnie miejsce w tabeli. Co najgorsze, trudno dostrzec symptomy poprawy. Nie można wygrać meczów, jeśli nie strzela się bramek, a zawodnicy - których LZS ma w składzie - zwyczajnie tego nie potrafią. Dotychczasowe mecze były smutnym wydarzeniem, nie tylko zresztą z powodu postawy drużyny lecz również jej sztabu szkoleniowego. Wywalczony przez piłkarzy punkty - w wygranym 2:0 inauguracyjnym meczu z BKS Brzeziny - zespół stracił walkowerem, bo działacze... niewłaściwie dokonali zmiany zawodnika, łamiąc tym samym przepisy LZPN.

Ciekawe, czy kogoś to czegoś nauczy?

Na postawę drużyny wpływa z pewnością nieobecność prezesa Andrzeja Lasoty, któremu - korzystając z okazji - życzymy rychłego powrotu do zdrowia.

Falstart zanotowała również drużyna Andrespolii. Tutaj z kolei mówić można o klasycznym paraliżu beniaminka IV ligi i bardzo wymagających przeciwnikach na starcie rozgrywek. Tak w każdym razie postawę drużyny próbują sobie tłumaczyć - pocieszać się? - klubowi działacze. W jedenastu rozegranych meczach piłkarze „Wiśniówki” zdobyli osiem punktów i zajmują przedostatnie miejsce w tabeli.

Miejmy nadzieję, że Andrespolia otrząśnie się,

zdola zapobiec indywidualnym błędom i odzyska w grze pewność siebie, jaką prezentowała w poprzednim sezonie.

Oby, bo nieuchronnie zbliża się trzydziesty pierwszy październik. Dzień szesnastej kolejki IV ligi, w którym dojdzie do pojedynku pomiędzy Andrespolią - gospodarzem spotkania - a Widzewem Łódź. Kibice Widzewa znani są na wielu stadionach.



W 1953 roku zawiązało się Koło LZS Justynów. Powstała sekcja piłki nożnej. Jednak losy piłkarzy z Justynowa, to wieczna karuzela.

Kiedyś zresztą nie tylko w Polsce i wcale nie z najlepszej strony... Mecz uważany jest więc za spotkanie podwyższonego ryzyka. Jak poinformował nas komendant posterunku policji w Andrespolu Sylwester Misio, prewencyjne okolice stadionu przy Czajewskiego oraz trasy do niego prowadzące zabezpieczać i kontrolować będzie co najmniej stu policjantów. Policję z naszego posterunku wspierają funkcjonariusze Komendy Powiatowej z Koluszek, a także Oddział Prewencji Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi.

Przypominamy, że bilety na ten mecz będą biletami imiennymi. Chętnych zapraszamy do kontaktu z klubem. W myśl wytycznych LZPN, ilość miejsc ograniczona.

A teraz, jak zapowiadaliśmy w poprzednim numerze, nieco historii...

W 1953 roku zawiązało się Koło LZS Justynów. Powstała sekcja piłki nożnej - tzw. liga wiejska - oraz sekcja łucznicza. Wkrótce po jej powstaniu - w 1956 roku - Wiesława Lauk - Juszczyk zdobyła wicemistrzostwo Polski LZS. Dalej nie było już tak dobrze. Przerwa w działalności koła trwała do 1973 roku, kiedy to za sprawą ówczesnego prezesa Jana Frydrycha, nastąpiła reaktywacja sekcji piłki nożnej. Podzielała magia olimpijskiego medalu piłkarskiej reprezentacji

nisław Majcker, Witold Maliszewski, Wiesław Okaj, Wiesław Pagacz, Grzegorz Pawłowski, Krzysztof Pietrzak, Ryszard Pietrzak, Paweł Pira, Paweł Rakus, Władysław Sadura, Wojciech Sierociński, Bogumił Skibiński, Włodzimierz Starosta, Henryk Starzyński, Jan Stokowski, Andrzej Szafara, Krzysztof Szymański, Zdzisław Turlakiewicz, Zdzisław Tyl, Tadeusz Wójcik, Waldemar Zdziebzyński.

Jesienią 1973 roku na justynowskim boisku rozegrano pierwszy mecz w C klasie. Przeciwnikiem LZS był zespół Polonii Andrzejów. Wiosną 1974 roku drużynę zgłoszono do rozgrywek klasy B. Jesienią 1977 roku nastąpił krach. Większość zawodników powołano do wojska i zespół wycofano z rozgrywek.

Po ponad dwudziestu latach przerwy, w 1998 roku został utworzony Klub LZS Justynów. Za zgodą dyrekcji Szkoły Podstawowej w Justynowie oraz rady rodziców, jego siedzibą stała się justynowska podstawówka. Piłkarze zgłoszeni zostali do rozgrywek B-klasy. Wkrótce, za sprawą starania prezesa Andrzeja Lasoty, drużyna znalazła się w A klasie. Trenerem został Kazimierz Gwizdek. Jednak losy piłkarzy z Justynowa - jak pokazuje historia - to wieczna karuzela. Między rokiem dwa tysiące ósmym a dwa tysiące jedenastym znów była przerwa. Ponowne narodziny piłki w Justynowie, to rok dwa tysiące jedenasty. Mecze A-klasowe rozgrywane były na nowo wybudowanym przez gminę boisku na terenie starej żwirowni i wysypisku śmieci. Rok później drużyna awansowała do klasy okręgowej.

Jak jest dziś, mogliście Państwo przeczytać na początku tekstu. W zaprezentowanym kontekście gest Pawła Gamyśa, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze - radnego, który zaprotełował publicznie przeciw celowości utrzymywania w gminie dwóch zespołów piłkarskich - widać w pełnym świetle.

Bogdan Kamiński
(przy pisaniu tekstu korzystałem z pracy licencjackiej Karoliny Lasoty)



Zartujemy, dowcipkujemy, gotujemy - nasze hobby i fascynacje

NASI POTRAFIA Nasi potrafią

Kiedy tam wszedł, zaniemówił. Właściwie były to tylko wręgi. Pancernik „Richelieu” był jeszcze w powijakach, ale Matczak z siódmej C w jednej chwili wtedy zrozumiał, że będzie robił to samo. Tyle, że lepiej. W każdym razie, dłużej niż Czesław, który poza francuskim pancernikiem, nie zbudował już w życiu żadnego innego modelu. Lepiej, choćby dlatego, że z większą konsekwencją niż kolega, który pierwszy raz w życiu zaprowadził go do szkolnej modelarni. Po latach Czesio z podstawówki w Andrzejowie przy Gajcego został podpułkownikiem wojska, Zdzisław Matczak z Andrespola – technikiem budownictwa i mistrzem Polski w okrętowym modelarstwie.

Dlaczego właśnie okręty, a nie na przykład samoloty, czy samochody? Wiele razy zadawał sobie to pytanie. I chyba wie. Samolot, to tylko model jakiegoś typu, który pozwala wyćwiczyć



„Orzeł” jest dla Bartka. Bartek zrobił coś niezwykłego. Na parę lat przed emeryturą pomógł dziadkowi wrócić do marzeń.

modelarzowi sprawność rąk, a później – w trakcie lotów – precyzję radiowej nawigacji. A każdy okręt ma swoją historię. To widać, a przede wszystkim czuć, kiedy jest się modelarzem we właściwym tego słowa znaczeniu. Kiedy buduje się modele redukcyjne – wiernie kopie oryginałów w precyzyjnie określonej skali. Zdzisław Matczak jest modelarzem. Od pięćdziesięciu jeden lat.

W dzieciństwie, przed „Orkanem” były tylko pływakielki. Nie znaczące nic modelarskie wprawki.

ORP „Orkan” miał swoją historię. Znaczącą, zwłaszcza dla nas. Na jego pokładzie z Gibraltaru do Anglii przewieziono trumnę z ciałem generała Sikorskiego. W październiku 1943 roku niszczyciela trafiła torpeda akustyczna z U-boota admirała Karla Dönitza. Zatonął ze stu siedemdziesięcioma ośmioma polskimi i dwudziestoma brytyjskimi marynarzami. Ważne żeby to wiedzieć. Modelarstwo, to przecież nie tylko „prace ręczne”, ale i geografia na przykład i historia właśnie.

Historia, która okala swą aurą okręt zdobię andrespolski salon Matczaków również jest

Orzeł dla Bartosza

dla nas istotna. To zbudowany w Sztokholmie - na polecenie Gustawa Adolfa - w 1628 roku szwedzki okręt „Vasa”. Król kazał wyposażić go w sześćdziesiąt cztery działa i latryny z płaskorzeźbami polskiej szlachty u wylotu wychodka, bo miał pomóc zwyciężyć w wojnie z Polską. Gdyby mu się udało, to kto wie – jak żartuje Matczak – czy dziś nie mówilibyśmy po szwedzku... Ale duma szwedzkiej marynarki, ogromny galeon: wysoki i długi „Vasa” zatonął na oczach zgromadzonych w porcie tłumów. Po zwodowaniu, przepłynął na portowych wodach niecałą milę. Okazał się zbyt długi i zbyt wysoki, a przy tym – zbyt wąski. Może na nasze szczęście...

Kto wie...? W każdym razie, tego szerszego patrzenia na modelarstwo - umiejętności widzenia historyczno-kulturowych kontekstów - nauczył Matczaka pierwszy instruktor modelarstwa Bogdan Ozimiński. Dziś już tylko ponad osiemdziesięcioletni emeryt z Andrzejowa, ale nadal aktywny modelarz, który w przydomowej pracowni zbudował niedawno flotę Kolumba. Trzy okręty, bo w 1492 roku do Antyli u wybrzeży nieznanego wówczas Ameryki – do Indii Zachodnich – dopłynęła nie tylko Santa Maria, ale też Nina i Pinta.

W siedemdziesiątym dziesiątym Zdzisław Matczak przejął modelarnię w andrzejowskiej podstawówce od pana Bogusia. Kierował nią do końca, do dziewięćdziesiątego pierwszego. Do rozwiązania. Dziś sądzi, że tak jak przed laty Bogdan Ozimiński jego, tak i on czegoś swych uczniów, startujących modelarzy nauczył. Czegoś o życiu nauczył się również od nich. Choćby prawdy o tym, jak złudne i nieskuteczne z punktu widzenia motywacji do działań bywają niepodparte pracą – wytrwałym wysiłkiem – najczystsze nawet, najgorętsze emocje. W końcu już tylko zabawnie było obserwować, jak na początku każdego roku szkolnego do modelarni przychodziło dwudziestu, trzydziestu chłopców. Pytali: ile taki model się robi? Gdy słyszeli odpowiedź, że – trzy, cztery tysiące godzin... Dwa, trzy, a i cztery lata, para uchodziła. Pod koniec roku w pracowni zostawało dwóch, trzech nowych adeptów.

Zostawali najlepsi. Najwytrwalsi. Podobni do Matczaka, który w 1979 roku na mistrzostwach Polski w Suwałkach zdobył w modelarstwie okrętowym mistrzostwo kraju. Kryteria były ostre. Każdy model oceniany był pod względem zgodności z dokumentacją techniczną oryginału i sprawności pływania. Ponad dwumetrowy, włoski ciężki krążownik – właściwie już można powiedzieć: pancernik – niespełna trzydziestoletniego modelarza z Andrespola

okazał się najlepszy! Matczak miał już za sobą kilka nagród, ale ta ucieszyła go szczególnie. Na zawody pojechał jeszcze nie – ale już prawie – z żoną Teresą. Zależało mu... Wtedy bardziej na Jej uznaniu, niż dziś na uznaniu obcych, podziwiających jego modele. Wprawdzie prezentował je w internecie, ale nigdy żadnego nie sprzedał. Nie chciał, choć namawiali.

Nie robi tego na sprzedaż, ani dla uznania z zewnątrz. Robi głównie dla siebie. Nie jest typem społecznika. Raczej... samotnika. Jesienią i zimą, kiedy wieczory są dłuższe a czasu jakby więcej, bierze twardą czekoladę i schodzi do piwnicy. Ma tam wszystko, co trzeba – plany modeli z dwumiesięcznika: „Modelarstwo okrętowe”, warsztat, materiały, narzędzia. Nie mówi, że go to uspokaja... Tak by chyba tego nie nazwał, ale w tej piwnicy o wszystkim zapomina. Nigdzie się nie spieszy. Nic nie jest w stanie go zdenerwować. Jeśli jakiś element, najmniejsza nawet część okrętu nie wyjdzie, robi jeszcze raz. Od nowa. To chyba taka potrzeba skupienia... Skupionej samotności, ale i – prawda! - sprawdzenia się. Kolejny raz w życiu: Tak, ja to potrafię! Miał to w sobie od zawsze. Taką archetypiczną - odchodzącą dziś w przeszłość – skazę mężczyzny. Kiedyś pierwszy w Andrespolu miał uchylną garażową bramę. Sam zrobił, na planach z „Młodego Technika” i... na sprężynach ze starego tapczanu. Ale działała.

Potrafi. Tak ma.

Teraz w domowej pracowni są dwa niedokończone modele. Oba ważne – pierwszy, to jeden z najpiękniejszych w historii żaglowców. Zaprojektowany ponoć przez cara rosyjski okręt flagowy z 1712 roku „Ingermanland”. Drugi, to nasz ORP „Orzeł”. „Orzeł” jednak chyba ważniejszy – to realizacja niespełnionego marzenia sprzed lat. Kiedyś robił już „Orla”. Większego niż teraz. Jeszcze w pracowni w Andrzejowie, w ostatnich latach przed jej zamknięciem. Wspomnienie tego, co stało się z tym modelem gorzko smakuje do dziś. Tuż przed ukończeniem okrętu, Matczak musiał zająć się czymś innym. Domem. Na jakiś czas pozostawił model w pracowni pod opieką ówczesnego szkolnego palacza - konserwatora pana Tadeusza i wszystko było w porządku.

Robi głównie dla siebie. Nie jest typem społecznika. Raczej samotnika. To chyba potrzeba skupienia... Skupionej samotności, ale i sprawdzenia się. Kolejny raz w życiu.



Zbudowany w Sztokholmie – na polecenie Gustawa Adolfa – w 1628 roku szwedzki okręt „Vasa” król kazał wyposażić w sześćdziesiąt cztery działa i latryny z płaskorzeźbami polskiej szlachty u wylotu wychodka.

ku, póki pan Tadeusz żył... Jego następcy – żli ludzie – pozostawiono w opustoszałej modelarni „Orla” spalili.

Nowy jest dla Bartosza. Trzyletniego, jedynego wnusia, który niekiedy schodzi z dziadkiem do piwnicy. Kochany jest, grzeczny, stara się pomagać... Może kiedyś przejmie tę pasję... Gwarancji nie daje, ale do pracy chętny, więc może... Ale dziś już Bartosz zrobił coś niezwykłego. Na parę lat przed emeryturą, pomógł dziadkowi wrócić do marzeń. Dotąd przecież pan Zdzisław robił głównie żaglowce. Kładł je na półkę i stały, a „Orzeł” płynąć będzie także pod wodą. I jaka to będzie frajda! Dla Bartosza i jego dziadka...

K.S.



Polecam
i życzę
smacznego

Autorka potrawy
Pani
Barbara Pichola

Pierogi ze szpinakiem, że palce lizać!

Pierogi znane były w Polsce prawdopodobnie już w XIII wieku. Przepuszczalnie z Dalekiego Wschodu, sprowadzone zostały do Polski przez Ruś. Podobno biskup Jacek Odrowąż zachwycił się ich smakiem podczas pobytu w Kijowie i dzięki niemu pierogi zagościły w Polsce.

„Jacek, placek na oleju! Mama krzyczy: Stój, złodzieju!”... Chyba każdy Jacek zna ten wierszyk. Jeśli nie, to przynajmniej wołanie w piaszkownicy lub na podwórku: „Jacek Placek!”.

Zarówno ten wierszyk, jak i drugie zawołanie: „Święty Jacku z pierogami”, mają związek ze świętym Jackiem Odrowążem. Jest legenda, że po najeździe Mongołów - kiedy w Polsce

panowała wielka bieda - brat Jacek nie zostawił potrzebujących bez pomocy. Nakarmił głodnych pierogami i na dodatek przyrządził je według własnego pomysłu. A dlaczego Jacek Placek? Podobno dawniej pierogi były nazywane placekami i musiały być smażone na oleju.

Chciałabym zaprezentować pyszne pierogi ze szpinakiem.

Składniki na farsz: 3 średnie cebule, 3-4 ząbki czosnku, 45 dkg szpinaku, 20 dkg sera białego, szczypta: bazylii, imbiru, majeranku, mielonej kolendry, soli i pieprzu, olej do smażenia.

Składniki na ciasto: 45 dkg mąki, ok. 1 szklanka mleka.

Przygotowanie: Posiekaną cebulkę podsmażyć na oleju na złoty kolor. Szpinak rozmrozić i lekko odcisnąć przez gazę. Czosnek przepuścić przez praskę lub drobno pokroić, a następnie połączyć wszystkie wymienione składniki wraz z białym serem oraz szczyptą: bazylii, imbiru, majeranku, kolendry mielonej, soli i pieprzu. Warto dodać, że farsz do pierogów najlepiej przygotować dzień wcześniej i przechować w lodówce. Mąkę wyrobić z mlekiem - ciasto musi być luźne - rozwałkować, a następnie szklanką lub foremką do pierogów wyciąć kółeczka. W uformowane krążki włożyć farsz i ulepić pierożki.

Pierogi gotować w temperaturze 100 stopni w osolonej wodzie, aż do wypłynięcia.